

Mateusz Matyszkowicz: I Ty możesz być panem Kleksem

Brzechwowy Hitler, czyli Golarz Filip, chciał uciszyć wrzeszczącą hałastrę z Akademii



Brzechwowy Hitler, czyli Golarz Filip, chciał uciszyć wrzeszczącą hałastrę z Akademii

W popularnym odbiorze „Akademia Pana Kleksa” jest infantylną bajeczką, taką polską fantazy. W każdej fantazy jest jednak spory ładunek filozoficzny. Powiedzmy więc sobie tak: swoje dzieło Brzechwa napisał w czasie okupacji. Kiedy Warszawa była szara, nieprzyjazna i niebezpieczna. W tym strasznym mieście umieścił niezwykłą szkołę, która była przepustką do wolności. Zaproszenie do niej było wyłącznie imienne. Nie dla każdego dziecka, ale konkretnego.

Wolność wcale nie przejawiała się w niej brakiem dyscypliny - uczniowie wstawali przecież wcześniej rano i dzień zaczynali od przysznica. Nie brakiem nauki - tej była tam solidna dawka, choć w formie niekonwencjonalnej. Wolność była możliwa dzięki indywidualnemu traktowaniu każdego ucznia przez profesora, który nie był robotem do uczenia, nie realizował schematów i scenariuszy, ale dawał dzieciom samego siebie, ze wszystkimi wadami i zaletami. A kto był największym wrogiem Pana Kleksa? Brzechwowy Adolf Hitler, czyli Golarz Filip, który chciał uciszyć wrzeszczącą hałastrę z Akademii. Pan Kleks walczył z duchem żelaznej nowoczesności - tej samej, która przyniosła światu dwudziestowieczne totalitaryzmy.

Kiedy znika człowiek

Dziś warto czytać „Akademię Pana Kleksa” na początku września. Nie tylko dlatego, że to właśnie w tym miesiącu obchodzimy rocznicę zniszczenia Polski przez dwa totalitarne systemy, ale też ze względu na początek roku szkolnego. I czytając dzieło Brzechwy, warto sobie zadawać pytanie o to, czy nie pogubiliśmy się całkowicie w naszym myśleniu o systemie edukacji.

Niektórzy marzą o wielkich reformach, o świetnych standardach, wyostrzonych kryteriach i jakości, przede wszystkim jakości. Tak jest w systemie edukacji. O dostosowaniu systemu do rynku pracy, o wskaźnikach i testach porównawczych. W coraz bardziej sformalizowanej i zestandaryzowanej edukacji, w tym systemie ukierunkowanym na ekonomiczną korzyść, coraz więcej społecznej inżynierii.

Kiedy znika człowiek jako cel procesu kształcenia, pojawiają się wskaźniki i inżynierowie, którzy mają stymulować życie społeczne. Nie jest to polska specyfika - europejska edukacja podlega coraz większej standaryzacji. Jednym z powodów jest chęć ekonomicznego doścignięcia Stanów Zjednoczonych. Im jednak bardziej Europa ściga, tym jest dalej. Im bardziej się stara, tym gorzej jej wychodzi. Ubocznym skutkiem jest zatracenie przez edukację jej właściwego celu.

Ale wróćmy do Polski. W naszej konstytucji jest zapis o prawie do nauki, które przysługuje każdemu obywatelowi. Z tego prawa wyprowadzony jest obowiązek nauki. Ale jest też inne uprawnienie w konstytucji - to, które przyznaje rodzicom prawo do wychowania dzieci zgodnie z własnym sumieniem. Oba prawa mogą prowadzić do sytuacji konfliktowych. Jeśli przymus szkolny zostanie potraktowany jako zachęta do edukacyjnej inżynierii, naruszone mogą zostać prawa rodziny.

Nasza konstytucja wprowadza jednak pewną zasadę, która mogłaby przed takimi konfliktami chronić - to zasada pomocniczości. Obowiązkiem państwa jest niedopuszczenie do sytuacji, w której

obywatel pozbawiony jest prawa do nauki. Nie musi jednak ingerować, jeśli jest ono zapewnione.

Co z socjalizacją

Ustawa o systemie oświaty, czyli fundament całego systemu, powinna z tych konstytucyjnych założeń korzystać. System edukacji w Polsce ma w dużej mierze totalitarny charakter - jest skonstruowany tak, by stworzyć jak najwięcej pól do oświatowej inżynierii. Ale umożliwia też takie formy realizowania prawa do nauki, które mogą doprowadzić do fundamentalnych zmian w samym systemie, bez legislacyjnego szaleństwa i kolejnych projektów reform, które i tak skończą się kląpą.

Otóż istnieje w Polsce możliwość uczenia dzieci w domu. Nie, niekoniecznie przez bony i tutorów, ale przez rodziców. Wystarczy zapisać dziecko do szkoły i wystąpić do dyrektora o zezwolenie na spełnianie przez dziecko obowiązku szkolnego poza szkołą. Trzeba przy tym zobowiązać się do zapewnienia mu warunków do nauki i do corocznych egzaminów. To tak zwana edukacja domowa.

Ludzie, którzy słyszą o niej pierwszy raz, pytają mnie, czy to działa. Ano, działa. Dzieci uczone w domu statystycznie zdają egzaminy lepiej niż ich rówieśnicy uczeni w szkole. Badania, robione na dużą skalę w USA, gdzie takich dzieci jest ok. 3,5 miliona, wskazują, że nie ma znaczenia poziom wykształcenia rodziców. Znakomite wyniki otrzymują dzieci uczone przez rodziców wykształconych przeciętnie, jak i ponadprzeciętnie.

Kolejne pytanie dotyczy socjalizacji. Wtedy mam ochotę odpowiadać: a co z socjalizacją szkolnych dzieci? Czy jesteście pewni, że dzisiejsza szkoła jest jedynym miejscem do przystosowania społecznego waszych dzieci? Badania potwierdzają, że dzieci uczone w domu częściej angażują się w instytucje obywatelskie i lepiej wchodzą w relacje z innymi.

Mimo że na edukację domową będzie się decydowała zawsze mniejszość rodziców, to istnienie tej instytucji i kultura, jaką wypracowują rodziny uczące w domu, może doprowadzić do zmiany aksjologii całego systemu. Przede wszystkim, jeśli idzie o upodmiotowienie w systemie oświaty ucznia i jego rodziny. To oni stanowią właściwy cel całej edukacji.

Mit nieomyłności systemu

Nasz system szkolny nie tylko jest w małym stopniu otwarty na aktywność rodzicielską, ale i sami rodzice chętnie cedują własne obowiązki na szkolną instytucję. Edukacja potrzebuje nowej kultury współdziałania między rodzicami a szkołą. Takiej, w której szkoła będzie szanować zdanie rodziców i ich prawo do decydowania o wychowaniu dzieci, a z drugiej strony sami rodzice uświadomią sobie odpowiedzialność, która na nich ciąży, i porzucą wyłącznie roszczeniowy stosunek do instytucji edukacyjnych.

Coś musi w polskiej edukacji pęknąć, a potem zaskoczyć. Pęknąć musi mit nieomyłności systemu i niekompetencji rodziców. Zaskoczyć musi wola rodziców do działania dla dobra dzieci. Istnienie i rozwój edukacji domowej mogą być takim impulsem.

Ostatecznie wyjdzie to na dobre wszystkim. Niektórzy decydują się uczyć w domu. Inni, czyli większość - w szkole. Wszyscy jednak mają być świadomi, że to nie państwo ani szkoła są właścicielami dzieci. Każdy człowiek jest właścicielem samego siebie, a każdy rodzic jest odpowiedzialny za to, jakiego człowieka wychowa. Żaden standard edukacyjny za nas tego nie załatwi. I nawet jeśli decydujemy się na posyłanie dziecka do szkoły, to nie przestajemy być dla niego pierwszymi nauczycielami. Podobną świadomość powinna mieć szkoła - przy wyborze programów nauczania, podręczników, modeli wychowawczych.

A kto chce robić to sam - zachęcam. To działa. Mamy wrzeszczącą hałastrę, dobrze nam z tym i unikamy Golarzy Filipów.

Mateusz Matyszkowicz

Tekst ukazał się w dzienniku Rzeczpospolita (03.09.2012 r.)

Rzeczpospolita Copyright by PRESSPUBLICA Sp. z o.o. Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część jak i całość utworów nie może być powielana i rozpowszechniania w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób (w tym także elektroniczny lub mechaniczny lub inny albo na wszelkich polach eksploatacji) włącznie z kopiowaniem, szeroko pojętą digitalizacją, fotokopiowaniem lub kopiowaniem - bez pisemnej zgody

PRESSPUBLICA Sp. z o.o. Jakiegokolwiek użycie lub wykorzystanie utworów w całości lub w części bez zgody PRESSPUBLICA Sp. z o.o. lub autorów jest zabronione pod groźbą kary i może być ścigane prawnie.